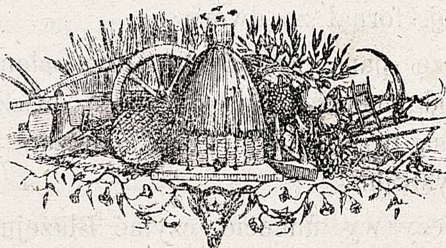
Tom XI. 1. lipca



Nr. 1. 1864.

Wychodzi we Lwowie co 10 dni, to jest 1. 11. i 21. każdego miesiąca.



Kosztuje rocznie z przesyłką pocztową 2 zlr. w. a., półrocznie 1 zlr. w. a.

DZWONEK

PISMO DLA LUDU.

Boga, dzieci, Boga trzeba,
Kto chce syt być swego chleba.

O Żmudzi i Żmudzinach,

co także niegdyś należeli do Polski.

W wiosce Zakopanej, gdzie to jest tyle żelaza sławnego na kraj nasz cały, znajduje się porządna szkoła. Do tej szkoły nie chodzą jeno dzieciaki, ale kiedy niedziela lub świątek jaki, to zaglądnie tam niejeden gospodarz, niejeden parobczak, dziewuchy także nie od tego, aby wstąpiły do szkolnej izby, a i wójt sam, co jest człek bardzo zacny i rozumny, często tam zachadza. Wtedy to zasiędą sobie ci ludkowie i gwarzą z panem profesorem o rzeczach naucznych i niejeden więcej na tem skorzysta, niż gdyby był hulał gdzieś u żyda.

Otoż pewnej niedzieli zgromadzili się tak gospodarze, parobcy i dziewczęta do izby szkolnej, gdzie także i wójt i pan profesor już byli. A było to właśnie po nieszporach. Jedni siedzieli na ławkach, drudzy stali i gwarzyli, a inni znowu koło okna skupili się razem i oglądali z wielką ciekawością jakąś xiążeczkę.

— A cóż tam za taką ciekawą xiążkę macie, co się jej tak bardzo przypatrujecie? — zapytał profesor.

Na to Błażej, fornal ze dworu:

— Ot, proszę pana profesora, przyniosłem xiążkę, com jej wypożyczył od naszego pana dziedzica do czytania! Ale że to w tej xiążce są przeróżne pięknie malowane obrazki, więc je pokazuję wszystkim.

— A cóż, czy wy umiecie czytać Błażeju? — zagadnął profesor.

— A jużci, że tam trochę umię czytać, ale tylko z drukowanego, com się wyuczył od organisty nieboszczyka, kiedym jeszcze był mały.

— No i widzicie, jak się wam to przydało — odrzekł profesor.

— Ależ proszę pana profesora — zagadnął Błażej — bądźcie też tak dobrzy opowiedzcie nam o tych tu ludziach co tu na ostatnim obrazku w xiążce tak szumnie są wymalowani; przecież też jeździłem z moim panem nie mało po świecie; byłem ci i w Warszawie, i w Krakowie, i we Lwowie, poznałem przeróżnych ludzi w rozmaitych strojach, ale takich jak tu na obrazku jeszcze nie widziałem, a muszą oni być pewnie Polacy jak my wszyscy, kiedy w polskiej xiążce stoją wymalowani.

Profesor wziął xiążkę od Błażeja, oglądnął ją na chwilę, pokiwał głową i rzekł:

— Błażeju! to ta xiążka dużo warta, ma ona kilkanaście pięknych obrazków, na których stoją wymalowani Krakowiacy w swych prześlicznych strojach polskich, ba! są ci tu jeszcze i Mazurzy, i Górale tacy jak wy, i Rusini a nawet i Litwini i Żmudzini!

— Aha! właśnie mi też tu chodzi o tych panów Żmudzinów wymalowanych — przerwał Błażej — i czy oni są także Polakami?

— A tyś jak myślał — odrzekł profesor — Żmudzini to nasi bracia, a choć tu niby są wymalowani w pańskich kapotach, to nie są oni ci tam żadni panowie, ale prości chłopi obywatele, jak my tu. Noszą się Żmudzini, jak tu widzicie,

z pańska, bo są bogaci, pracowici i trzeźwi, to też mają za co sobie sprawić takie paradne stroje.

— A w której to stronie leży kraj Żmudzinów? — zagadnął Jędrek z Krzeptówki.

-- Kraj Żmudzinów — odparł profesor — to jest Żmudź, leży het, het, tam na północno-zachodniej stronie nad samem morzem Bałtyckiem. Dawno, a bardzo dawno już temu, nie należała jeszcze Żmudź do Polski, lud wszystek tam zostawał w pogaństwie, i dopiero kiedy się xiążę Jagiełło, pan całej Żmudzi i drugiego kraju jeszcze, co się zwie Litwą, ochrzcił i z królową polską Jadwigą ożenił, Żmudzini i Litwini wiarę chrześcjańską przyjęli i odtąd złączyli się z Polską w jedno ciało, jeden naród z nami tworzyli, i razem z nami przechodzili różne przygody dobre i złe A i dziś chociaż Moskale Żmudź zabrali, Żmudzin nie Moskalem ale Polakiem się mianuje, polskich ma dziedziców i polskich xięży!

— Teraz — mówił dalej profesor — posłuchajcie jeno, a opowiem wam o tym kraju Żmudzi i jego narodzie.

Jeszcze za pogańskich czasów siedzieli sobie spokojnie Żmudzini we wielkich, niedostępnych puszczach i gęstych lasach. Polowali oni na zwierzęta i żywili się ich mięsem, a ze skór ich mieli ciepłą okrywkę na zimę; uprawiali oni także i rolę, chowali bydełko jak my, a pod staremi dębami czcili swych bogów, bo byli jeszcze poganami, i ani pomyśleli kiedy, że przyjdzie im z czasem bronić krwawo swej ojczyzny.

Mieli Żmudzini swoją osobną wiarę i mnóstwo bożków pogańskich. Tak jak my chrześcjanie zbieramy się teraz do kościoła na mszą świętą, tak oni niegdyś zbierali się do lasu na miejsce wolne, które było bogom poświęcone i takie miejsce nazywało się święte albo Romowe. Takie zaś Romowe było zawsze tam, gdzie były duże dęby. Otoż w miejscu świętem pod dębami palił się ogień święty, ale ten ogień nigdy nie gasł, bo go pilnowały dziewice niewinne zwane kapłankami, i dokładały drzewa doń. I widzicie, w takich to miejscach świętych ofiarowano bożkom zwierzęta i przeróżne inne rzeczy. Umarł ci kiedy rycerz jaki, co był tęgim wojakiem, to jego ciało ubierano w zbroję żelazną, przywiązywano mu i szablę i włócznię,

a przy nim stawiano konia najlepszego, psy, sokołą, słowem przy nim były wszystkie te rzeczy, które ów nieboszczyk lubiał za życia, potem go spalono, a popiół i kostki z niego zebrano pięknie i w trumienkę złożono, która to trumienka była z gliny, a była podobną do garnka.

Długo sobie żyli Żmudzini spokojnie, aż oto ni ztąd ni zowąd Krzyżacy niemieccy napadli na ich kraj i wywabili ich samych z lasów do długich i strasznych z sobą wojen.

Musicie wiedzieć moiściewy, że owych Krzyżaków niemieckich nie było dawniej ani słychać w Polsce, ale byli oni w Azyi, w innej części świata, w ziemi świętej, gdzie nasz Pan Jezus nauczał i był umęczony, i tam prowadzili wojnę świętą czyli krzyżową z poganami, aby z ich rąk grób Chrystusa Pana odebrać. Otoż na tej to wojnie potworzyły się różne bractwa czyli zakony, dla obrony pielgrzymów, co święte miejsca zwiedzali i dla niesienia pomocy chorym i rannym. A kiedy się owa wojna skończyła w ziemi świętej, to wtedy wszystkie te zakony wróciły ztamtąd do Francyi i do Niemiec, bo z tych krajów pochodziły najwięcej. Ci zakonnicy, albo inaczej bracia szpitalni, chodzili w żelaznej zbroi, mieli długie miecze, na sobie nosili długie białe płaszcze szerokie, a że na tych płaszczach mieli krzyże z czarnego sukna przeto nazywali się Krzyżakami, a w rzemiośle wojennem byli dobrze wyćwiczeni; żon nie mieli, a żyli jak zakonnicy, tylko wojowali i modlili się.

Takich to więc Krzyżaków sprowadził z niemieckiego kraju na granice naszej ojczyzny jeden polski xiążę na Mazowszu, co się zwał Konrad, i dał im ziemię Chełmińską w darowiźnie, a ci mu zaś za to przyrzekli, że będą razem z nim wojować i nawracać do wiary chrześcjańskiej Prusaków dawnych, co byli wówczas poganami jeszcze. Owi Krzyżacy byli to strasznie chciwi i łakomi, a zdradzieccy i chytrzy ludzie co niemiara, dybali tylko na cudze jak nieprzymierzając kruki na ścierwo, słowa Konradowi nie dotrzymali, a z samymi potem nawet Polakami krwawe wojny prowadzili, i nie mało też złego sprowadzili nam na naszą ojczyznę kochaną. Za to też mój miły Boże wykropił ich siarczyście nasz król Łokietek, a potem zbił pod Grunwaldem na miazgę nasz polski król Jagiełło!

Najprzód zwrócili owi Krzyżacy swoją zbójecką rękę na Prusaków dawnych, co byli sąsiadami Żmudzinów. Kraj pruski zniszczyli do szczętu, a samych Prusaków, co aż nie miło powiedzieć, wyniszczyli i na ich ojcowiznę sprowadzili z niemieckich krajów obcych kolonistów, i tym przybłędom podawali zrabowaną ziemię.

Ale nie dosyć było jeszcze Krzyżakom kraju pruskiego, przeszli oni i do Żmudzi i dalejże Żmudzinów z ich ojczyzny rugować, wolność i mienie im odbierać. Ale nie na tem się kończyło, bo oni przytem palili całe wioski i miasta, a samych ludzi tam mordowali bez miłosierdzia, a kto przypadkiem przy życiu został, to go brali w sromotną niewolę i pędzili do chrztu het za lasy i za rzekę Niemen aż do miasta Malborga. W tem mieście Malborgu to było dzieci żmudzkich w niewoli tak dużo, że ani byłbyś ich mógł policzyć, a kiedy ojciec lub matka z własnem dzieckiem widzieć się chcieli, to musieli się gwałtem przódy ochrzcić i drogo opłacić tym okrutnym niemieckim mnichom.

Co już prawdą a Bogiem, to taka napaść ni ztąd ni zowąd oburzyła na piękne Żmudzinów i nie dali oni sobie napluć w kaszę, ale każdy, czy to pan, czy gospodarz ze wsi, czy jaki mieszczanin brał za topor, cepy lub pikę, a ciął jak gniew Boży tych wrogów i bronił do upadłego ojczyzny od ich plądrowania. Udało się czasem Żmudzinom pobić nieprzyjaciela, to już wtenczas w kraju była niesłychana radość, a udało się im przytem złapać samego Krzyżaka, to ci go zaraz żywcem razem i z koniem i całym rysztunkiem spalili na ofiarę bożkowi wojny, co się im jednak nie chwali.

Ale choć to Żmudzini bili się zacięcie, jak lwy jakie, nie zdołali przecież Krzyżaków zupełnie pokonać; dwieście lat wojowali oni z nimi i nieraz jęczeli w niewoli krzyżackiej i w ucisku najstraszliwszym, bo Krzyżak nie żartował, a był ci srogi, dumny, łakomy i rozpustny. Xięża niemieccy co do zawojowanej Żmudzi poszli chrzcić i wiary świętej nauczać, byli także chciwi i zabierali Żmudzinom wełnę i mleko. Za te zdzierstwa, krzywdy i gwałty różne, ile razy Żmudzini ochrzczeni powstali, tyle razy kościoły i klasztory zburzyli, a xięży wy-

mordowali, sami zaś wracali do swej pogańskiej wiary. A Krzyżaków tam tak znienawidzono, iż ich inaczej nie nazywano tylko psami, a kiedy Żmudzin zmarł, to krewni grzebiąc go mówili:

— Idź nieboże z nędzy tego świata na lepszy, gdzie drapieżni Krzyżacy nad tobą panować nie będą, ale ty nad nimi!

I Bóg tam wie, kiedyby się był ucisk krzyżacki w tym kraju skończył, gdyby Litwini nie byli podali ręki swym braciom Żmudzinom, którzy razem z nimi mieli tę samą pogańską wiarę, te same prawie obyczaje, tych samych kapłanów i xiążąt, i także prawie tych samych wrogów.

Już co prawda, najlepiej się Żmudzinom wtenczas dopiero działo, kiedy xiążę Jagiełło, jak już wiecie, pan całej Litwy i Żmudzi przyjął chrzest święty, ożenił się z królową polską Jadwigą i został potem królem polskim, a swoje dwa kraje przyłączył do Polski. Żmudzini i Litwini widząc, że ich sam pan łaskawy i rozumny został katolikiem i monarchą Polski, także zaraz przyjęli wiarę katolicką bez uporu wielkiego i namowy. A więc widzicie teraz, że nie Krzyżacy niemieccy zaprowadzili wiarę chrześcjańską na Żmudzi, ale nasz wspaniały król Jagiełło, i jego żona Jadwiga.

Odtąd już moiściewy, Żmudzini, Litwini i Polacy tworzyli jeden wielki kraj, kochali się jak bracia, jak dzieci jednej matki, razem wrogów gromili, a wara było wtedy zaczepiać komu Polskę, bo aniby się był spodział, kiedyby po skórze mógł był oberwać. Król Jagiełło, jak już wiecie, pomścił się na Krzyżakach, za ich gwałty czynione na Żmudzi, bo ich na głowę pobił z pomocą Polaków pod Grunwaldem. Od tego czasu ustały krzyżackie okropności na Żmudzi, ale lud tamtejszy jeszcze dzisiaj opowiada sobie o niesłychanej niewoli krzyżackiej i przeklina swych dawnych wrogów.

— A teraz proszę pana profesora, co porabiają Żmudzini? — zapytał jakiś ciekawy parobczak.

— Ot biedują jak i my — odpowiedział pan profesor — bo im pod Moskalem nie dobrze się dzieje. Wprawdzieć chleba im nie skąpo i dobytek jaki taki — ale to od Pana Boga nie od ludzi. Żmudź moiściewy, to kraj płaski, równy, nie ma gór,

grunta posiada urodzajne, dużo lasów i wody. A trzeba wam wiedzieć, że lasy i wody to wielkie dobrodziejstwa dla ludzi; bo lasy dostarczają drzewa na budulec, na opał i sprzedaż, wody dostarczają ryb, a rzekami można spławiać do obcych krajów wszystko co ziemia posiada, i zboże, i drzewo, i sól, i inne przeróżne płody krajowe, za co nie mały grosz się dostaje.

Na Żmudzi, kochani bracia, panuje ostra zima, ale Żmudzini nie wiele sobie ta i z niej robią, skoro mają dostatek drzewa na ogień, wełniaste owce na kożuchy, a oprócz tego lisy, wilczury i skóry niedźwiedzie na lepszy okrywek. Ziemia żmudzka jest urodzajna; na niej sieją piękną pszenicę i żyto, len i konopie prześliczne Len żmudzki, moiściewy mili, to słynie na cały świat; ale bo też to len nie taki jak u nas, jeno prześliczny, a na dwa łokcie aż wysoki, a biały jak śnieg i miękutki jakby jaki najdelikatniejszy jedwab. Otoż ten len na Żmudzi tak się rodzi obficie, że nawet nie uwierzysz, jeżeli własnemi oczy temu się nie przypatrzysz. Żmudzini na galarach ów swój len przecudny spławiają rzekami do Prus na sprzedaż, ba! nawet ci go i na okrętach, het, het, do dalekich krajów za morze posyłają, i za niego spory zbierają grosz. Prócz tego każdy chłopek na Żmudzi ma dużą pasiekę przy domku swym, za miód też drogo mu płacą, bo miód tam jest taki wyśmienity, jakiego indziej nie znajdziesz, a wosk jak kreda bielutki. Po nad morzem jest tam ziemia trochę nieurodzajna, ale pracowity Żmudzin zwozi na nią porost z morza i nim rolę przewybornie uprawia, a praca ta jego stokrotny plon mu przynosi. Pod miastem Połągą zaś wyrzuca morze w jesieni rok rocznie na brzeg tak zwany bursztyn, który się tam wcale nie zmarnuje, bo go Żmudzini zbierają jakby jakie złoto i drogo sprzedają. Czasem można znaleźć tak wielką bryłę tego bursztynu, że za nią i kilkaset reńskich dostaniesz od jakiego kupca.

— Proszę pana profesora — przerwał Tomasz Wala — a jak to ten bursztyn wygląda i zkąd on się w morzu bierze?

— Ten bursztyn — rzekł profesor — moiściewy, wygląda żółtawo, a jest twardy jak kamień, a podobny z koloru najbardziej do miodu lub żywicy na trześniach czyli drzewach ja-

godowych, którą to żywicę wy nieraz smołą nazywacie. Owoż taki bursztyn, to pochodzi co prawda od niepamiętnych czasów jeszcze. Uczeni ludzie powiadają, że tam, gdzie dziś jest morze Bałtyckie były kiedyś ogromne lasy świerkowe i jodłowe, które woda zalała i zamuliła, i oto na tych to zamulonych lasach utworzyło się morze. Lasy owe zamulone z czasem skamieniały, a żywica drzewna, jaką po dziś dzień widzimy z naszych świerków i jodeł płynącą, stwardniała w kamień, a teraz woda z morza na brzeg ją wyrzuca, a ludzie takową zbierają lub sieciami poławiają jak ryby. Ta więc skamieniała żywica nazywa się bursztyn, z którego toczą się treski przepyszne do cybuchów i korale, co je kobiety noszą na Żmudzi jako najpiękniejszą ozdobę na szyi.

Pan profesor skończył a ludzie rozeszli się do domów, a radzi byli bardzo, że się czegoś o braciach Żmudzinach dowiedzieli.

W. Michna z Zakopanego.

Spiewka o Janku Bziku szwargotniku

czyli

Wyszedł Polakiem — a wrócił cudakiem.

Póki Janek siedział w domu
To przyłożyć go do rany,
Bo był chłopak zawołany
I nie sprzykrzył się nikomu!

Poszedł potem na żołnierza
Widział wiele obcych krajów,
Naniósł do dom złych zwyczajów —
Ani z mięsa ani z pierza.

Bo jak do dom już powrócił,
Przekabacił sobie głowę,
Zbisurmanił sobie mowę
I ojcowski strój zarzucił.

I nie nosił już sukmany
Ani pasa z gwoździkami,
Ani czapki z pióreczkami,
Jeno jakieś tam łachmany!

Ni niemieckie, ni frajcuzkie,
Ni to chłopskie, ni to pańskie,
Ni żydowskie, ni chrześcjańskie,
Ni to ruskie, ni to pruskie.

I nie inak z mową było,
Bo szwargotał jak straszydło,
Że aż słuchać człeku brzydło,
Aż się ucho plugawiło!

Zamiast czapki włożył *mice*,
A za żupan *kabat* stary,
Pludrów wązkich miał dwie pary,
A na nogach miał *trzewice!*

Nie w kalecie lecz w *brucaku*
Nosił ogień i krzesiwo,
A wyglądał jako żywo,
Jak bezroga w starym saku!

Matka już się zwała *muter*,
Ojca w *fatra* przeszachrował,
Buty *wiksem* już *pucował* —
Chleb się *brot* zwał, masło *buter!..*

Dał podwórzu imię *hofu*,
A onucy nazwał *fecy*,
Gdy mu ojciec zlatał plecy,
To dał kijom nazwę *sztrofu!*

Mówił *sem* i *teremtete*,
Zamiast koło mówił *kole*,
Feldem przezwał polskie pole,
A Małgosię nazwał *Grete!*

Myślał, że tem świat omami,
I że ujdzie za mądrala,
Ale śmieli się z drągala
Strasznie nawet Niemcy sami.

Zwał go głupim szwargotnikiem
Każdy dzieciak we wsi mały,
Dziewki kochać go nie chciały,
Natrącały Jankiem Bzikiem.

Ojciec, matka, kum, bratanek —
Wszyscy Janka zwali gapem
Bo ni kozą ni to capem —
Był ten głupi urwis Janek!

Pókiś wojak po wojacku
Nosić musisz ubior inny,
Wszak tyś temu nie jest winny,
Ale wróć-że po swojacku!

Na co obcej mowy tobie:
Niemiec mówi po niemiecku,
Turek sobie po turecku,
A po polsku Polak sobie.

Dobrze to pójść w inne kraje,
Dobrze zajrzeć w cudze miasta,
Bo nauka ztąd przyrasta —
I nikt za to nie połaje!

Lecz już kiedyś między swemi,
To bądź takim, jakim byłeś,
Bo Polakiem się zrodziłeś
I na polskiej umrzesz ziemi!

Wojtek ze Smolnicy.

Krzyż w lesie.

Na św. Stanisława tego roku jechałem na odpust do wsi Wojutycz. Ale jechać drogą to jest opętane 2 mile, a kto zaś wie drogę przez środek lasu, to się więcej jak o milę drogi skróci. Ja też przyjechawszy pod las na rozstajną drogę kazałem memu furmanowi stanąć i zaczekać, aż kto nadejdzie. W tem nadesłał mi Bóg jakiegoś staruszka, który co jeno skręcał do lasu, a ja prosto palę do niego:

— Pochwalony Jezus Chrystus! mój dobry panie ojcze i staruszku, siadajcie na wóz ze mną to razem pojedziemy przez las — wy pewnie znacie tu wszystkie ścieżki, to mi też pokażecie drogę do Wojutycz, bo ja tam pędzę z wiatrem na odpust a tu już słonko kawałek na dzień wybiegło!

Staruszek mię powitał pięknie, zdjął kapeluszynę słomianą i okopciałą, wsiadł na przodzie i obrócił się do mnie twarzą, abyśmy sobie mogli o czemś dobrem pogadać i jeden drugiego pouczyć, boć to każdy ma swój rozum i może dużo dobrego wiedzieć, jak jeno zechce.

I tak opowiedział mi staruszek o swojem gospodarstwie, o kilkorgu dzieciach, ba nawet o wnuczkach, bo jak mówił, to miał już obłożone 88 roczków i pamiętał jeszcze ostatniego króla polskiego w Warszawie, dokąd jego ojciec furmanił nie raz z panią i panem za polskich czasów.

I tak rozgadał się starowina siwiutki jak mąka pytlowana, a ja nauczyłem się nie jednej ciekawości i historyi od niego. Jechaliśmy tak lasem zwolna po korzeniach i wyrąbiskach pomiędzy drzewa, a staruszek wołał to wiśta to hetta, to od siebie to k' sobie, aż przyjechaliśmy w jedno miejsce, gdzie między dębami stał krzyż gdzie na nim było rubryką wypisane: „Tu gałąź dębowa zabiła do razu na śmierć walka Dudę — przechodniu Wieczny odpoczynek i paciorek.“

Ja ten napis odczytałem bez myłki i głośno, a staruszek westchnął strasznie, kiedy ja skończyłem to czytanie.

To też zaraz pytałem staruszka:

— Mój panie ojcze i staruszku! co wy tak wzdychacie? Możeście znali tego nieboraka Walka, którego gałęź ubiła i za jego duszę mówicie paciorek?

Na to staruszek rozpłakał się i gadał:

— O jegomość! jegomość! tu się stała straszna sprawiedliwość Boska z tym Walkiem, choć on nie zawinił, jeno ojciec jego, jak tam ludziska rozmaicie opowiadają o tem.

A ja przysiadłem się do staruszka, nadstawiłem dobrze uszy, bo wóz terkotał i konie pukały kopytami i mówię mu:

— To mi też bądźcie łaskawi opowiedzieć historyę, bo ja ciekawy do takich rzeczy, a co jeno gdzie zasłyszę i zobaczę to znowu sprawiedliwie i sumiennie opiszę i dam do druku, aby też i drudzy o tem wiedzieli.

Starowina wypatrzył się na mnie, i rzekł:

— No! toć mi to nic nie szkodzi, że ja jegomości opowiem, bo co prawda to nie grzech! a choćby tam kto i czytał o tem, to ja sprawiedliwie opowiadam, jak to się stało.

I mówił mi tak dalej:

— Tu za lasem w prawo, jak się droga skręca do miasta, stoi do dziś chałupa na wygonie — to leśniczowka pana Stadnickiego, a tu był dawniej jakiś pan Wincenty za leśniczego. A był to człowiek ostry bo ostry, ale sprawiedliwy, że nikogo na mak ziarnka nie ukrzywdził i nikomu nic złego na jedną okruszynkę nie zrobił. Jak cię złapał w lesie na kradzieży po raz pierwszy, to ci nagadał, i natrąbił w uszy, a wszystko tak, jak z ewanielii ксiądz opowiada, i puścił cię. Ale jak cię dostał na drugi raz w lesie przy patykach, to ci zabrał siekierę, pogroził i puścił na sucho. Jeno trzeci i czwarty raz jak cię bratku dostał w swoje ręce, to ci kości aż trzeszczały i wtedy miałeś za swoje co dźwigać. Jużci to było sprawiedliwie: bo poco załazić komu w szkodę, poco trapić leśniczego, kiedy on nie żałował nikomu, kto go poprosił i on sam do pana napisał za kim o jaki patyk, a nie minęło go, jak niebo każdego pobożnego, i dostał jak wartał czego i był wysłużny i uczynny każdemu. I pan Stadnicki dobry ale i ten pan Wincenty był także uczciwy i byłby grzech mówić co złego naprzeciwko nich.

A ja poderwałem staruszka:

— No! to może się co złego stało temu panu Stadnickiemu, albo temu panu Wincentemu?

A staruszek na to kiwnął głową i gadał:

— O! co pan Stadnicki, to on zdrów jak ryba, ale ten biedaczysko Wincenty został tu zabity.

Na to gadanie, aż mi się zimno zrobiło i pytam:

— A jakto? to go zabiła gałęź? ale przecie stoi rubryką napisane na krzyżu, że to zabiło Walka, a nie Wincentego? a może który z nich narobił jakie grzechy tutaj i Bóg pokarał jednego i drugiego za to?

A staruszek jął opowiadać tak:

— Ten pan Wincenty nieboszczyk nie zrobił nic złego nikomu. On złapał jakie 20 razy w lesie ojca tego Walka Dudy — a był do tego bednarz na całą wieś, jak go rzadko znaleść takiego, toż ten głuptak łazil po nocach z siekierką albo z nożem wielkim i krajał patyki i robił szkodę nie lada po lesie

— raz sobie zajechał z wózkiem na dwóch kołach i nałamał i naciął młode dąbki aż żal gadać o tem — a wtedy łap go pan Wincenty jak swego i tak z wózkiem zaprowadził do dworu, a było wtedy jakie 3 kopy dębiny młodej na tym wózku.

— No! cóż mu sam pan powiedział? zapytałem.

— A coby! mówił staruszek, nagadał się, aż mu łzy z ócz szły, a potem oddali złodzieja do kryminału, ale on tam nie długo jakoś siedział w kryminale bo go sam pan i ten Wincenty wyprosili. Ale to był Juda nie katolik ten stary Duda — tać on tak się rozjadł na pana i na tego Wincentego, że jak wrócił z kryminału, to poszedł w las i tam w nocy zabił tego leśniczego.

— A bójcie się Boga; zawołałem, a cóżto za człowiek nieczłowiek! ale czy to jeno prawda, że ten Duda stary zrobił to, czy byli świadkowie na to? bo to mój panie ojcze nie trza zmyślać na nikogo nic złego, a Bóg przykazuje: „Nie mów fałszywego świadectwa przeciw bliźniemu twemu“ — a coś nie widział i nie słyszał dobrze, to nie gadaj i nie przyczyniaj i nie przekręcaj ani literki w słowie, a broń Boże przeciągać na to.

A stary gadał mi dalej:

— Toć ja nie gadam, mój jegomość, żem widział, ale cała gromada gada do dziś. A co ludzie gadają, to i wygadają i wtedy wychodzi złe na sam wierzch, jak oliwa. Bo widzi jegomość! nie było w całej gromadzie despetnika i zbijacza takiego jak stary Duda, a syn Walek podawał się także do ojca, jak kurcze idzie za kurą i razem jedno kwokają, a znowu stało się to zaraz w drugą noc, jak Duda przyszedł z kryminału, i mówią ludzie, że widzieli wtedy Dudę z siekierką, jak się kręcił po polu.

A ja poderwałem w gadaniu i pytam:

— No! to musiał być znowu drugi raz w kryminale ten Duda, a może tam gnije do dziś?

A staruszek mi gada kręcąc głową:

— Ta, gdzie tam jegomość dojdzie kto końca z wykrętami ludzkiemi! gdzie tam dziś szukać prawdy, chyba w niebie u Boga! Toć i tak się porobiło nijako z Dudą, porwali go do aresztu, zwoływali gromadę do becyrku, ale cóż?

kiedy nikt dokumentnie nie widział tego, toć trzymali Dudę w areszcie, aż tam gdzieś skapał, bo przyszło pismo do gromady, że umarł i żeby za trumnę jego zapłacić jeszcze. Któż to może teraz wiedzieć gdzie prawda?

A ja na to odrzekłem:

— No! widzicie mój staruszku, to trzeba takie rzeczy, których ludzie nie wiedzą dokumentnie, zostawić samemu Bogu do sądu sprawiedliwego, on to sam zrobi jak się patrzy, bo on zna nasze myśli, słowa i uczynki wszystkie, i zrobi swoje jak czas przyjdzie na to, a znowu nie powinniśmy wygadywać na kogo tego, czego nie wiemy, ani sądzić bez dowodów, bo lepiej żeby 99 żyło choćby i zawinili, jak nie ma na to dowodów i sam pan Bóg ich trzyma przy życiu, niż żeby jeden między nimi zginął albo cierpiał niewinnie przez ludzi grzesznych.

A staruszek gadał mi:

— To prawdę jegomość gadają, ale niechno jegomość posłuchają co się stało z tym Walkiem Dudą. On został na ojcowiźnie, a wtedy pan Stadnicki wyprzedał dęby żydom aż do Gdańska na jakieś tam belki i na promy, co to po morzu pływają. I ten Walek chodził do lasu na zarobek i ścinał dęby. Otoż raz przyniosła mu jego baba śniadanie do lasu, on nieboraczysko zjadł i zostawił sobie resztę w garneczkach na południe, a baba odeszła. Koło wieczora miał już iść do domu, ale postawił garneczki na ziemię i zaczął ścinać jeszcze jednego dęba, bo to brał szóstkę od dęba, i dąb bęc na ziemię, połamał drzewa i gałęzie, aż strach boży, ale jeden konar zawiesił się na gałęzi drugiego dęba i tam sobie wisiał. Niech sobie wisi! pomyślał Walek i zaczął się zabierać do domu, nałożył sobie fajkę i zapalił, wziął garneczki i kij do ręki i kilka obręczy na ramię i idzie. Ale nie wie grzeszny człowiek, co mu z góry przeznaczono, a kara boska znajdzie zawsze każdego, choć Bóg wysoko od nas, prędzej czy później zginiesz biedaku, jak rybka w suchym przetaku, kiedy cię Bóg sprawiedliwy złapie do siatki, jak ptaszka do klatki.

Na to gadanie zdjął staruszek kapeluszynę, patrzył się w niebo wysokie, płakał, a potem tak dalej opowiadał:

— I widzi jegomość, Walek sobie idzie prosto, aż stanął w tem miejscu gdzie ten konar wisiał na gałęzi, a wtedy chciał Bóg i konar spadł na samą głowę Walkowi i zabił go do razu jak muchę marną, ani dygnął, ani się ruszył na miejscu, jeno mu się krew ciurkiem puściła uszami i nosem, i tak zginął marnie. Widzi jegomość, że to cud boży, bo tamtędy przeszło pierwej coś z 8 chłopów naprzód Walka, a konar spadł dopiero prościutko w sam środek głowy Walkowi i jeno jego samego zabił, a drugim świsnął koło uszu i ani tknął drugich gałązką. Ba! ale co jeszcze? może jakie 50 kroków dalej miał tam zabić ojciec tego Walka owego leśniczego Wincentego. No! czyżto nie palec boży oczywisty? Ta to podziw na cały świat!

Ja zadumałem się strasznie na to i gadam:

— To prawda, mój staruszku, że to podziw na cały świat, aby z ostatniego dęba konar, co go Walek nieboszczyk ściął już na wychodzie samym i wrócił się jeszcze do roboty i postawił garneczki na ziemi, aby taki konar zaczepił się na drugim dębie i tam w górze czekał wyraźnie aż na Walka, jak on tam przyjdzie i dopiero wtedy spadł prosto na niego i zabił go, to oczywista jakaś kara boska i dziwna śmierć. Ha! jeźli to prawda, że ojciec Walka zabił tego leśniczego i pierwej kradł patyki z cudzego lasu, to macie dowód sprawiedliwości boskiej, że Bóg karze i dzieci za grzechy ojców, jeźli dzieci złe i nie naprawią krzywdy i szkody, jaką porobili ich ojcowie, albo jeźli dzieci grzeszą dalej i robią tak, jak ich ojcowie robili. Wiecie mój staruszku, że krew niewinna woła o zemstę do nieba, jak ty kogo kamienujesz, to ciebie Bóg sam ukamienuje, jak ty kogo siekierą mordujesz, to ciebie Bóg lada suchym listkiem i patyczkiem na prostej drodze zabije później, jak ty kogo zagryziesz, to ciebie Bóg twojem sumieniem zagryzie, a krzywda i szkoda cudza wylezie tobie i twoim dzieciom kiedyś uszami i gębą, a kradziony chleb struje ciebie i twoje dzieci, jeźli go nie wrócisz skrzywdzonemu. A co tobie ujdzie bez kary na tym świecie, to ci nie ujdzie na tamtym, bo z jednym złym włoskiem nie zajdziesz do nieba, jeźli go nie wyrwiesz sam za życia, to ci go tam Bóg wyrwie choćbyś

krzyczał na gwałt. A mówi jeden święty: „że dopóty nie będzie grzech odpuszczony, dopóki wziątek nie będzie wrócony."

Ale zapytałem:

— A któż to postawił krzyż w lesie?

— To zrobiła gromada — odrzeknie staruszek — pan podarował dąbka, a cieśla Szymek Wrona wyciosał i rubryką wypisał, a xiądz miał mszę św. za pana Wincentego i ojca i Walka Dudę, i poświęcił krzyż, a gromada postawiła pono na tem samem miejscu, gdzie zginął Walek nieboszczyk.

— No! to teraz wiem wszystko, odrzekłem, a my mój staruszku zmówmy paciorek za tych biedaków, i nie sądźmy ich na ziemi, kiedy oni już stanęli na sądzie bożym. Niech im tam pan Jezus miłosierny wybaczy wszystko!

I zmówiliśmy paciorek i 3 razy „wieczne odpoczywanie," wtedy staruszek wyskoczył z wozu na ziemię, pożegnaliśmy się jak katolicy i Polacy bracia, on poszedł z Bogiem w swoję stronę, a ja odjechałem na odpust, tam opowiadałem ludziom to wszystko, a teraz podaję to samo do Dzwonka, aby wszyscy o tem wiedzieli i strzegli się podobnych grzechów.

Xiądz Wojciech z Medyki.

RÓŻNOŚCI.

Burze i ulewy. Ze wszystkich stron piszą nam tu do Lwowa o okrutnych burzach i ulewach, co wiele bardzo zniszczenia narobiły po polach. Gdzieniegdzie to i chaty burza pouszkadzała, a wody tak wylały, że mosty i groble pozrywały a nawet całe domostwa z sobą poniosły. W cyrkule samborskim, stryjskim, przemyskim, stanisławówskim i w wielu jeszcze innych okolicach straszne burze poniszczyły pola, a wody także bardzo wiele biednym ludziom poczyniły szkody. O piorunach, co uderzyły w domostwa także bardzo dużo piszą, w Samborze na przykład uderzył piorun w sam kościół farny, ale Bogu dzięki żadnej nie zrobił szkody. W powiecie słotwińskim, w cyrkule stanisławowskim, oberwała się chmura i okrutna była ulewa, tak że rzeka Bystrzyca zalała około ośm wsi i dużo spustoszenia sprawiła.

Bratobójstwo. Sądzono tu we Lwowie w sądzie kryminalnym wielkich bardzo zbrodniarzy. Pewien wieśniak z Krowicy w cyrkule żółkiewskim imieniem Grzegorz Jaremus

wraz z synem swoim Janem zamordował swego własnego brata. Aż strach, pomyśleć, że się znalazł taki człowiek, co jak ów Kain okrutnik zabił własnego brata!... Syn tego strasznego złoczyńcy, Jan, co ma dopiero lat 23, pomagał swemu ojcu w zamordowaniu swego stryja. Owoż teraz sąd lwowski sądził ojca i syna za ich okropną zbrodnię i skazał ich na śmierć przez powieszenie. Tak to się strasznie przydarza na świecie, jeżeli ludzie zapomną o Bogu!...

Pożary. Dnia 1 czerwca zgorzało w Tokach, w obwodzie sanockim, 14 chałup; dnia 4 b. m. w Samborze 24 domów, a przytem zginęło 15 sztuk bydła; w Korolówce, obwodzie czortkowskim, 10 chałup; dnia 6 b. m. w Beremianach, obwodzie czortkowskim, stajnie dworskie z 42 sztukami bydła. W Worobiówce, obwodzie tarnopolskim, w końcu maja dwa były pożary przez podpalenie.

Djabeł i grzesznik. Anzelm św. razu pewnego ujrzał, jak dziecię z ptaszkiem igrało, nitką go za nogę uwiązawszy; co ptaszek wzlecieć chce, to ono pacholę go do siebie potargnie i ciągnie. Kazał święty biskup urwać nitkę: ptaszyna zaraz wysoko wzleci i po powietrzu swobodnie buja, a dziecina płakać poczęła. „Tak, powiada św. biskup, człowiek gdy w grzechu leży, od czarta za nogę uwiązany jest, iż choć chce co dobrego czynić, czart mu nie dopuszcza, ale go do siebie targa i w większe błoto grzechu wlecze: aż za łaską Bożą i wielką pilnością własną grzeszny człowiek nić onę, to jest zły nałóg ku czarta zmartwieniu przerwać i gwałt sobie zadać musi, toż dopiero i wolnym być i w pokucie dobrze czynić może.“

Zdania moralne.

Dusza i sława nie mogą być pogrzebione.
Cnota i prawda w ręku jest Boskiem.
Człowiek sprawiedliwy słońcem jest pomiędzy ludźmi.

Nauka matką jest wszelkiej pociechy, ale do nabycia jej trzeba wiele pracy i cierpliwości; — jest każdemu przydatna, ale nie łatwa; lecz za to choć cię wszystko opuści, nauka nigdy.

Jest, jak to mówią, w naszym kraju z Bożej łaski *żyto do chleba, len do płótna*, *owce do sukna*, *stada do koni*, *kruszce do broni*, — lecz z tego wszystkiego trzeba użytkować pracą ciągłą, ustawiczną; trzeba gospodarzyć, grosz zatrzymać, nie tak jak to mówią: *co zarobili to i strawili.*

Do pracy człowiek się rodzi,
Praca ozdobą człowieka,
Po pracy spoczynek czeka,
Wesołość trudy nagrodzi.

Odpowiedzialny redaktor i wydawca: **E. Winiarz.** Z drukarni E. Winiarza.